W Poniedziałkowym Teatrze TV

„Sława i chwała"

TO bardzo śmiałe i ambitne przedsięwzięcie ze adaptacja telewizyjna „Sławy i chwały". Oczywiście, teatr telewizji niejednokrotnie już podejmował podobne próby przenoszenia na małe ekrany wielkich utworów epickich, że przypomnimy np. inscenizację „Cichego Donu" Szołochowa, czy też niedawne „Małżeństwo Antoniny", widowisko oparte na „Buddenbrookach" Tomasza Manna. Wiedzieno jednak że sprzeciwów i zastrzeżeń wywoływały tego rodzaju przedstawienia, nawet w przybliżeniu nie dające wyobrażenia o bogactwie wielowątkowych utworów.

Skrótowość i fragmentaryczność, spłycenia i uproszczenia, pochodzące — to główne grzechy, jakie nie bez racji im zarzucano. Grzechy nie do uniknięcia, jeśli wziąć pod uwagę konieczność zmieszczenia się w jakże krótkim czasie trwania jednego spektaklu. Tylko czy jest to konieczność? Lidia Zamkow, autorka telewizyjnego opracowania Iwaszkiewiczowskiej epopei, wyciągnęła wnioski z niepowodzeń swych poprzedników w dziedzinie adaptacji wielkich powieści — stąd zapewne odcinki „Sławy i chwały", które — razem dotąd w Teatrze Poniedziałkowym nie spotykała — zmniejszone będą w cztery kolejne poniedziałki.

Te cztery wieczory, to w sumie mniej więcej sześć godzin projekcji. To dużo, a zarazem bardzo niewiele. Niewiele wobec treści i rozmiarów książki Iwaszkiewicza. Nie oczekujmy zbyt wiele — nie oczekujmy, że w ciągu tych czterech wieczorów jedno z najwybitniejszych i najpoczytniejszych dzieł naszej literatury powojennej przekazane nam zostanie w swym pełnym kształcie. Akcja „Sławy i chwały" rozpoczyna się w roku 1914, końcowy jesienią roku 1941. Obejmuje trzydzieści kilka lat najburzliwszych wydarzeń w dziejach narodu, skazuje doświadczenia plejady postaci w planie historii i w planie przeżyć psychologicznych. W tej gęstwinie znaczeń i wyznań, rozważań o sensie historii i sztuki, a także realiów zwyczajnego życia opisywanego z niebywałą precyzją — adaptator musi wybierać, musi dokonać eliminacji.

TRUDNO dziś, na podstawie pierwszego odcinka, snuć przypuszczenia co do całości telewizyjnej „Sławy i chwały", nie ulega przecież wątpliwości, że zapowiada się ona interesująco. Wydaje się również, że Lidia Zamkow znalazła właściwy klucz do inscenizacji dzieła Jarosława Iwaszkiewicza. Wykorzystała mianowicie pewną charakterystyczną cechę kompozycji „Sławy i chwały", cechę polegającą na tym, że Iwaszkiewicz nie tyle opowiada dokładnie i po kolei losy swych bohaterów, co ujmuje ich przeżycia w wyraziste, dramatyczne epizody, pozostawiając domyślności odbiorcy mniej ważne ogniwa ich biografii. Tak właśnie postąpiła Lidia Zamkow we wczorajszym spektaklu, wypunktowując jakby ostrym światłem cztery sylwetki: Janusza Mysyńskiego, Walerka Royskiego, Janka Wiewiórskiego i Kazimierza Spychały — czterech przedstawicieli różnych środowisk, różnych postaw, różnych karier i dróg życiowych w międzywojennym dwudziestoleciu.

Zobaczyliśmy w tych rolach Leszka Herdegena, Romana Wilhelmiego, Andrzeja Mrowca i Józefa Duriasza, których aktorstwo bądźmy jeszcze mieli okazję obserwować osobno. Duże podkreślić trzeba kreację Zofii Małynicz, która jako stara księżna Bilińska stworzyła wspaniały, stylowy portret arystokratycznej matrony. A. B.